№ 8.

Dziennik domowy.

Próżno się na polu wadzisz,
Jeśli doma nie uradzisz.
Rej z Nagłowic.

ROK 1844. Poznań, dnia 10. Kwietnia.

DZIENNIK DOMOWY, poświęcony życiu domowemu, familijnemu i towarzyskiemu, wychodzi co drugi tydzień, w objętości jednego arkusza, do którego przydaną jest rycina mód paryzkich, wraz z opisem. — Przedpłata wynosi na pół roku talarów **3**, *i przyjmuje się po wszystkich królewskich urzędach pocztowych, tudzież księgarniach krajowych i zagranicznych.*

W rozwijaniu się stosunków społecznych, gra bardzo ważną rolę wychowanie młodzieży. Człowiek jest tym, ku czemu się dostatecznie usposobi, a tylko duchy wyższe i bardziéj samodzielne talenta mogą wyjątek z tego ogólnego prawa stanowić. Im bardziéj usposobiona jest młodzież do przyjmowania idei czasowych, im łatwiéj ją postępy oświaty i myśli ludzkiéj przejmują i przechodzą w jéj krew i żywot, tém snadniéj naród spełnia posłannictwo swoje, tém szybciéj rozwija się, tém wyżéj w ludzkości staje. Nietylko więc ze względu na charakter i przyszłość pojedyńczéj osoby, ale ze względu na naród jest świętą powinnością rodziców starać się o danie takiego wychowania synom i córkom, któreby je usposobiło do przejmowania snadnego idei czasowych. Pamiętajmy, że największą cnotą jest iść we wszystkiém po równi z czasem, a im kto bardziéj ducha czasu resumuje w sobie, tém większym i cnotliwszym jest, jak znowu z drugiéj strony jest zbrodnią przeciwko Bogu, stawać na zawadzie rozwijającemu się czasowi, występkiem, albo śmiesznotą nieść z nim po równi.

W naszéj prowincyi i w całéj Polsce, bardzo się wiele złego dzieje przez to, że rodzice w domach szlacheckich, niedość znajomości zasad pierwotnego wychowania dzieci posiadają. Sądzą oni, że szkolne, albo zawsze od szkolnego gorsze domowe wychowanie dzieci, byle trochę zewnętrznego okrzesania dziecku nadało, byle weń powierzchowną wiadomość tego co się w świecie dzieje wlało, już jest dostatecznėm. Synowie przynajmniéj, że jeszcze zachwycą trochę praktycznych wiadomości, a jeśli w Wielkopolsce, to i na uniwersytecie z nowszémi nieco pojęciami się otrzaskają, ale wychowanie córek, na odrobinie francuczczyzny, mierności w śpiewie i muzyce, wielkim talencie do tańca i potocznéj pogadanki ogranicza się. Przy takiém wychowaniu, młodzieniec może parę lat uwijać się po miejskich sąsiedztwach, przeczyta raz poraz jaką nową książkę, a w czwartym roku po powrocie z uniwersytetu, już tylko o gospodarstwie, koniach, polowaniach, o balu kasynowym, o obiedzie i winie będzie wiedział. Będzie to sobie człowiek jak każdy inny szlachcic, dobry, w razie potrzeby da się dla dobra ogółu porąbać, prochu niewynajdzie, a co gorzéj, niemając innego celu jak „żyć sobie i umrzeć," niezakładając sobie wyższych dążeń, i niekłopocąc się o to, co tam ludzie piszą, myślą, i czynią w narodzie i na świecie, nie będzie prawdziwie cnotliwym, bo ten tylko cnotliwym być może prawdziwie, kto całą miłością swą ukochał ojczyznę, naród swój i spółbraci, kto dla nich żyje, i wszystkie im myśli swe, wszystkie czyny i każde uczucie, każdą chwilę czasu poświęca, kto sercem i uczynkiem naród kocha, jego potrzeby i istotę zna, kto się ku posłudze narodu wykształca.

A jeśli młodzież męska nieodpowiada żądaniom, jakie słusznie mieć można do niéj, o ileż mniéj zdolną jest ukochać całą duszą naród i żyć tą miłością jedynie, to jest być cnotliwą panna, powierzchownie ledwie podkształcona, dla któréj bale ideałem życia, któréj tylko powiastki jedyném umysłowém zajęciem, która gdy pójdzie za mąż, w czczych zabawach utonie i o dzieciach nawet pamiętać niebędzie, albo po za sposobem krajania sukni, po za kuchnią i gospodarstwem, już nic w świecie mieć niebędzie, będzie to

w pierwszym razie przyjemna, światowa pani, w drugim gospodyni, ale nie będzie obywatelką, znającą swój naród i jego potrzeby, znającą myśl wieku, i cnotliwą — miłością ku narodowi swemu.

A jeśli — Bogu dzięki — znajdujemy jeszcze tyle Polek, kochających naród, jeśli tylu jeszcze ze szlachty jest, którzy godnymi są, lub miłością ku niemu godnymi być się starają narodu, jakąż to winno być nauką dla młodych i dla tych, którym młodych wychowywać przypada, że czas już jest nietylko z instynktu być cnotliwym, to jest kochać naród swój, lecz świadomie go ukochać, z przeświadczenia być cnotliwym, i wykształcać się ku cnotliwemu życiu. Jakiż to byłby wtenczas wzlot cnoty i jéj potęga, gdy dziś tyle już jéj mamy przykładów.

Stanisław Strawiński,

KONFEDERAT BARSKI.

(Z OPOWIADANIA.)

Słońce kwietniowe mile świeciło i zdawało się wszystko budzić do życia. Ptaszki i owady przelatując szybko odzywają się wesołemi głosy, a skowronek wzbijając się wysoko, dzwoni piosnkę radosną i rzewną, bo to tułacz, który znów ujrzał rodzinną ziemię. Cała przyroda zdaje się uderzać lekkie akordy poprzedzające hymn odrodzenia, niby lud, kiedy mu pierwszy promień swobody zabłyśnie.

Na tle tego obrazu, wśród pól zieleniejących drobną oziminą, od strony Krakowa ku Cieszynowi czwałuje młodzian zbrojno przybrany krętą drożyną. Wyloty czarnego kontusza na wiatr puszczone przydają barczystości jego smukłéj postawie, a konfederatka na bok przewieszona podnosi swoją białawą barwą śniadość jego twarzy, która pokazuje, że nie przesiadywał w pokoju. Lubość w około rozlana nie wnikała do duszy jeźdca, owszém jakiś niepokój wisiał na jego czole, a czarne oko wytężone naprzód, z niecierpliwością zdawało się mierzyć kilkanaście kroków, które go oddzielały od świerkowego lasu. Koń okryty pianą, już prawie bezsilny, ale poczuwszy na karku pieszczoty ręki pana, dobywa sił ostatnich, i w kilka minut stawają u celu. Jeździec zsiadł z konia, zarzucił mu cugle, i puścił wolno, a wyjąwszy pistolet z za pasa, strzelił na wiatr. Huk się rozległ po lesie, i po chwili było słychać w oddali drugi wystrzał, niby echo pierwszego. Świsnął na konia, ten szedł jak pies za nim, a młodzieniec zwrócił się w stronę, skąd go wystrzał doleciał. I niedługo usłyszał szelest łamiących się gałęzi — i zawołał silnym głosem: „Kazimierzu!“ a jakby za odpowiedź usłyszał „Stanisławie!“ — postąpił jeszcze kilka kroków i witał braterskim pocałunkiem i serdeczném uściśnieniem ręki młodzieńca. Prosta granatowa czamara, konfederatka na głowie, i pistolety za pasem stanowiły ubiór przybyłego. Wąsik drobny i podgolony, długie jasne włosy, twarz u niego regularna, delikatna — z całą jednak mężkością, bo przyćmiona tą powłoką, jaka się nabywa od ciągłego życia na wolném powietrzu. Mimo tego, każdyby poznał na pierwsze spojrzenie, wpatrzywszy mu się w czoło i oczy, że to mąż silny duchem i wolą, tyle tam hartu i głękokiéj myśli.

— O mój Pułaski! zawołał radośnie z ciemnemi włosami młodzieniec — więc cię jeszcze oglądam żywego i wolnego!

— Oglądasz mię żywego, ale nie wolnego, kochany Strawiński — odparł ten z goryczą — wszak wróg u nas gospodarzy, jakby w własnéj ziemi.

— Bóg widocznie dopomaga naszéj sprawie — odrzekł drugi żywo. Częstochowa, Tyniec, Lanckorona wzięte — konfederatów tysiące — wybijemy wroga co do nogi....

Słowa z taką wiarą wymówione rozpogodziły czoło Pułaskiego — on walczył w imie wolności przeciw uciskowi, czuł więc, że siła nie w liczbie, ale w zapale i w świętości sprawy.

— Kocham cię jak człowieka, który nie umie być niewolnikiem, a ufam jak sobie samemu; dla tego żądam od ciebie imieniem ojczyzny nowéj posługi.

Strawiński rozrzewniony tém zaufaniem zawołał: O! pójdę na ogień, na miecze, na śmierć, na największe katusze z radością!

— Poznaję cię Strawiński! wszak jeżeli depcząc nas mają sięgać po naszę wolność, lepiéj jéj brońmy stanąwszy na trupach wydzierców! Wolny niech nigdy po sobie deptać nie pozwoli!

Przy tych słowach oblicze Pułaskiego zdawało się jakby rozjaśnione iskrą pryśniętą z nieba, bo jego serce silnie rozgorzało poświęceniem dla drugich. Był on jeszcze jak błędna gwiazdka, poprzedzająca jutrzenkę swobody, nie mniéj jednak świecąca w kierunku ludzkości — bo naród odrętwiał, stracił działalność ducha, a konfederacya Barska była pierwszém jego przebudzeniem.

Strawiński w milczeniu spoglądał na Pułaskiego, a za każdém słowem jego dusza rozpromieniała się tym czystym zapałem mówiącego.

— Nie widzieliśmy się jeszcze po śmierci Franciszka — mówił po chwili Pułaski i żal zabłysnął w jego oczach.

— Twój brat poległ w obronie rzeczypospolitéj — odrzekł Strawiński.

— O, nie żałuję ja téż krwi jego, ani żem utracił w nim przyjaciela i ostatniego z czterech braci, ale ojczyzna straciła w nim dzielnego obrońcę. Wszak cięższy cios od tego serce moje zniosło, kiedy ojciec spotwarzony od własnych rodaków skonał ze smutku w tureckich kajdanach, a jednak miłość do kraju w méj duszy na chwilę się nie zachwiała. Bo téż ojciec umierając zalecił nam tém gorętszą miłość ojczyzny, aby przez poświęcenie się i waleczność udowodnić niewinności imienia.... Dwóch jego synów i dwóch bratunków święcie dopełniło woli umierającego, bo każdy poległ ze szablą w dłoni. A i ja potrafię umrzeć jak i oni — dodał z jakimś rodzajem dumy. I zamyślił się na chwilkę, ale wnet sobie przypomniał, że nie dla wylewania uczuć serca, lecz w innéj sprawie przyzwał Strawińskiego, i kończył:

— Jeneralność spisała nakoniec akt detronizacyi, jedź do Cieszyna, tam ci go wręczą. Pamiętaj tylko, żebyś oddał ten akt Poniatowskiemu publicznie na zamku przy dwóch świadkach z konfederacyi, żeby nie mógł zapierać jego odebrania. Sam tu przybyłem, żeby ci to powiedzieć, bo nikogo nie miałem koło siebie, komubym mógł zaufać, a gdyby odkryto przed spełnieniem twoje poselstwo, pewnoby cię kule moskiewskie nie minęły.

Strawiński i chwilki się nie namyślał w przyjęciu poselstwa, choć pokazać się konfederatowi na zamku było tyle, co iść do nieprzyjacielskiego obozu, ale odrzekł bez najmniejszego wahania:

— A więc w przyszłą niedzielę już ten akt wręczę.

Jeszcze z godzinkę pogadali, jeden drugiemu wiele miał do powiedzenia, bo Pułaski przybył z obozu pod Częstochową, a Strawiński z Tyńca, i rok już blisko jak się rozstali. Teraz rozpomnienie niejednego bolesnego wypadku zasępiło ich lica, ale i niejeden pocieszny wywołał śmiech głośny. Lecz nakoniec trzeba się było rozstać, bo czas naglił. Pożegnali się krótkiém uściśnieniem ręki i pocałunkiem, i każdy biegł w inną stronę składać ochotnie życie na ołtarzu wolności. Pułaski przez pola i lasy wracał do obozu, z którego że wyjechał mało kto wiedział; a Strawiński do miasteczka w Szląsku austryackim Cieszyna, gdzie teraz zasiadała Jeneralność. *) Tu przed małym domkiem na przedmieściu stanął, i wszedł do niskiéj, ledwie kilku szybkami oświeconéj izdebki. Powitał go tutaj sekretarz Jeneralności Ignacy Bochusz i przedstawił, jako sobie dobrze znanego i prawego obywatela, nie wymieniając jednak nazwiska. Potém odczytał imieniem zgromadzonych akt detronizacyi, którym zostało wszystko unieważnione co zaszło od śmierci Augusta III., i oddał to pismo Strawińskiemu, żądając od niego zapewnienia, że je tylko wręczy samemu Stanisławowi Augustowi Poniatowskiemu. Strawiński zaklął się na imie Boga, wolności, i ojczyzny, że wypełni wszystko co do joty, a pożegnawszy przytomnych, puścił się ku Warszawie.

*) Był to rząd konfederacyi Barskiéj, który w czasie walki narodu cały czas przesiadywał za granicą. Lecz że go obce państwa uważały jako reprezentacyą konfederacyi, chcąc więc rzecz uprawnić w oczach postronnych rządów, działano jakby z woli Jeneralności.

2.

Księżyc co tylko z bladą twarzą zawisł nad ziemią i gwiazdy na pół sennémi oczami na niebie zabłysły, kiedy dwóch konnych jechało w Warszawie przez nowe miasto. Stanęli przed klasztorem Dominikańskim, a jeden, który się zdawał kilku latami starszy od towarzysza, zsiadł z konia i ubocznemi drzwiczkami wszedł do klasztoru. Wrócił po chwili z braciszkiem dominikańskim, już latami pochylonym i włosem ubielonym siwizną, ale jeszcze krzepkim w chodzie i rzeskim w spojrzeniu. Uprzejmie powitał oczekującego, a odbierając od nich cugle, zwrócił się do starszego:

— Panie Łukaski! będę więc was czekał; a na znak, że to wy, zastukajcie po trzy razy w moje okno. Teraz idźcie z Bogiem, ja tymczasem będę miał staranie o waszych koniach — i powiódł je ku stajni, a jeźdcy zakrywszy się o ile mogli deliami, dążyli ku Nalewkom.

Towarzysz idąc obok Łukaskiego, to się uśmiechnie, to zasępi, to spojrzy w srebrną twarz księżyca i westchnie, a jego lica, krasne odwagą, miękną i oblewają się coraz większą rzewnością. Łukaski nie zważał na młodzieńca — on sobą zajęty, bliski jakiegoś szczęścia, bo jego łagodna twarz ożywia się wewnętrzną radością, i widać, że mu wesoło i lekko na sercu. Szli w milczeniu, ale kiedy przy Nalewkach ujrzeli żółty niewielki dworek, towarzysz schwycił Łukaskiego za rękę, i mówił proszącym głosem:

— Nie śmiéjcie się ze mnie, ale choć mówicie, że mnie panna Tekla kocha, to mię nie uspokaja, ja pragnę jéj słowa — o! wtedy z uśmiechem bym padał w objęcia śmierci.

— Ej panie Stanisławie! odrzekł ten z półuśmiechem — coś Wenus ze swoim skrzydlatym synkiem nie żartami się dziś na ciebie uwzięła.

Te słowa wyrzeczone żartobliwie, jakby lodem padły na serce młodzieńca, bo w jego duszy wszystko umilkło — rozlegała się tylko miłość, jakby jedną pieśnią, a to jéj lekceważenie było dla niego bolesném bluźnierstwem. Puścił więc rękę Łukaskiego, i odparł z goryczą:

— W obozie słuchaliście o mojéj miłości, a teraz ze mnie szydzicie!

— Bo i cóż wam tak pilnie zamawiać żonę, kiedy z Moskwą trzeba się będzie jeszcze uganiać z lat kilka.

Znać ta uwaga ubodła do żywego Stanisława, bo poczerwieniał i odrzekł z przyciskiem:

— Pocóż mię zwodzić, lepiéj wprost powiedzieć, żem nie wart waszéj siostry, niegodzien waszéj koligacyi.

— Ciszéj panie Stanisławie, bo Moskale gdzie z za domu wypadną, i nas za kołnierz pochwycą. Chódźmy! nie mamy czego czekać, bo jak rond nadejdzie, toć nas jutro rozstrzelają, albo co gorsza, puszczą z obciętémi rękami.

Ta uwaga wcale młodzieńca nie przeraziła, bo stał w miejscu nieporuszony; znać wszystkie uczucia zlały się u niego w téj chwili w jeden strumień miłości, i nawet myśl śmierci była mu obojętną.

— Cóż wam jest panie Stanisławie? rzekł zmiękczony Łukaski. Ja was nie poznaję! kapryśniście jak dziecko. Wiecie, jak was kocham bez pokrewieństwa; jeżeli więc Teklusia przystanie, toć ja z całego serca pobłogosławię waszemu związkowi.

Młodzieniec nic nie odpowiedział, ale już spokojnie wszedł z towarzyszem do żółtego dworku. Łukaski z lekka we drzwi izby zastukał, a przez drzwi było słychać głosy kobiece: „to on!“ jednak zbliżył się ktoś cichym chodem i zapytał:

— Kto tam?

— To ja kochanie! odrzekł Łukaski, a natychmiast rygle u drzwi się odsunęły, i on serdecznie całował to młodą niewiastę z jasnemi włosami, okrytemi rąbkowym czepcem, to drugą z ciemnemi warkoczami, z różaném licem, i giętką kibicią w błękitny kabacik opiętą. Potém jasno-włosa poskoczyła do kołyski i wyjęła dwuletnią śpiącą dziecinę. „O, patrz mężu, jak urosł!“ Łukaski wziął synka na ręce, czule pieścił i ściskał, a malec przebudzony z uśmiechem aniołka ku niemu spoglądał. Stanisław stał ciągle w progu nieporuszony, widać że obcy, więc nie śmiał swojém słowem mięszać harmonii serc, które się w téj chwili zdawały uderzać jednym akordem miłości. Ale wnet ciemno-włosa go spostrzegła i nagle krzyknęła: „Pan Strawiński!“ W pierwszém uniesieniu poskoczyła ku niemu, jednak nie przystąpiła, tylko stanęła w miejscu, jakby ją ktoś wstrzymał, cała drząca i zarumieniona. Strawiński witał ją pocałowaniem w rękę, równie jak i panią Łukaską, a jednak najmniéj bystre oko byłoby od razu odgadło, że to kochankowie, tyle rozrzewnienia a razem i szczęścia wybiło na ich lica.

Teraz drzwi i okiennice pozamykano, i rozmowę z ostrożnością cichym głosem prowadzono, bo się już rozpoczęły dni pokuty narodu, i prawi synowie ojczyzny jakby złoczyńcy musieli się wciskać do własnych domów pokryjomu. Pan Łukaski tysiąc drobnych zapytań robił i odbierał nawzajem od żony i siostry, bo to już trzy miesiące, jak od konfederacyi z okolicy Zakroczymia nie zdołał się przedrzeć do Warszawy. A Strawiński siedział milczący i z goryczą raz po raz spojrzał ku Tekli Łukaskiéj, która się zdawała cała zatopiona w radości oglądania brata. Lecz kiedy spotkała wzrok kochanka, zamilkła — i jakby żałując téj wesołości smutnie oczy spuściła. Brat to dojrzał, szepnął żonie słów kilka, i usunęli się w inną stronę izby. Teraz kochankowie w milczeniu spoglądali w kwiaty kobierca okrywającego stół, przy którym siedzieli, wnet jednak Strawiński spojrzał ku sąsiadce, a widać, że jego cała dusza zestrzeliła się do oka, że prócz jéj oblicza nic w téj chwili nie widział. Ona czuła to jego spojrzenie, bo choć oczu nie podniosła, jednak pokraśniała. Nie długo jednak ten rumieniec gościł na jéj twarzy, podniosła oczy dość śmiało, ubrała się w jakąś powagę, i zaczęła rozmowę niby obojętną, dla obojga jednak pełną uroku, bo ją dopełniali spojrzeniami i mięknącym dźwiękiem głosu, temi hieroglifami duszy, dla rozmiłowanych tylko czytelnemi. Ona choć widocznie starała się ukrywać każde silniejsze bicie serca, to uczucie jak na złość na twarz wybiegało, a w całéj postawie taka rzewność, żeby najdzikszą duszę rozmiękczyła. Strawińskiego serce też coraz mocniéj uderzało, w odpowiedziach się mięszał, a do oka męzkością wybijającego łzy się gwałtem cisnęły. I jakże mogło być inaczéj, kiedy odgadł tę miłość, o któréj dotąd sam Bóg tylko wiedział..... Wyjeżdżając na konfederacyą kochał on już Teklę, choć tego uczucia nie nazywał jeszcze miłością. Lecz w chwilach, kiedy huk dział przestał mu grzmieć w uszach, i ostrza szabel w oczach nie migały, wtedy uczuł, że ma serce, którego krew i bitwy same zaspokoić nie zdołają, i wtenczas obraz Tekli stawał przed nim — a o czém z roskoszą marzymy, to niezawodnie kochamy. I u niego to uczucie z początku jakby mgłą osłonięte, zaświeciło nakoniec jego duszy jasném słońcem. Że ona go w rozdzieleniu coraz żywiéj kochała, nic w tém dziwnego — on jéj już był miłym, kiedy w obronie wolności biegł z radością naprzeciw kalectwu i

śmierci, a mało jest serc prawdziwie niewieścich, któreby ludzi takiego poświęcenia gorąco nie umiłowały — a cóż dopiero, jeżeli wśród nich już był wybrany — jakże go stokroć bardziéj nie kochać!...

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Ojciec Marek.

(Dalszy ciąg.)

Drugą główną rolę obok X. Marka odgrywa żydówka Judyta, córka rabina z miasteczka Baru, w którego austeryi zbierała się konfederacya, i odbywała swoje narady. Poeta wystawił ją równie natchnioną i cudotworczą. Na jéj zaklęcia rozsypują się zbrojne zastępy i huk dział ustaje; stawiona przed sąd wojenny rwie z rąk powrozy jak nitki, i tą potęgą ducha zakazuje nieprzyjaciołom dotykać się ciała uświęconego X. Marka, jeżeli nie chcą, by klęski na nich spadły:

Bo tak, jak ja rwę powrozy
Tak ja mu wojsko połamię;
Spalę lud, jak błyskawica.

Nie można niewidzieć, że nauka Towiańskiego dzielnie tu wpłynęła na poetę, i że jedynie z wpływu téj nauki upostacił nam Judytę jako wyobrazicielkę żydów, co obok polskiego narodu wedle téj nauki, męczeństwem dokupywa się u Boga tytułu wybranego narodu. Widzimy w niéj naprzód natchnioną prorokinię duchem oświetloną:

Nu — a ci ludzie nie wiedzą
— — co duchem zrobię;
Jaki duch w mojéj osobie?
— — — — — — —
Bo ja była błyskawicą,
Naszéj wiary tajemnicą!
Aniołem na boskich posyłkach,
Który piorunami strzela!
Zmartwychwstaniem Izraela,
Stojącym już na mogiłkach!
A przed Bogiem — małą mrówką,
Przed aniołami — aniołem;
A śród popiołów — popiołem,
A przed ludźmi — jak zawsze żydówką
Pogardzoną.

W inném miejscu powiada:

Ale z oczów mego gromu
Ja cisnę na was zagładę,
Bo ja duch, co wszystko odmieni.

W księdzu Marku uznaje wyższego proroka, i każe się wieść chłopcu chrześcianinowi do niego. Z początkiem drugiego aktu, tak ją prorok odprawia od siebie:

Wracaj Izraelitanko
I bądź o duchu spokojną,
Nie długo będziesz wygnanką.
Na to się toczy ta wojna,
Na to ja moję siwiznę
Ofiarowałem — kość złożę,
Aby silne duchy Boże
Miały na ziemi ojczyznę
I sztandar sercom zatknięty.

Te wyrazy są pełne znaczenia dla przyszłości Izraela. Ale oraz jéj przepowiada, że przyjdą burze, które jéj duchem zatrzęsą i z drogi obranéj zawrócą. — Burze te nadeszły. Kossakowski w najniegodziwszy sposób obiera ojca jéj z pieniędzy, morduje go, a gdy córka na popiele opłakuje stratę rodzica, on ją jako nierządnicę nagabuje. W całej brzydocie wystawia jéj się zbrodzień, a z nim i religia, którą wyznaje, i sprawa, za którą walczy:

Patrzaj ty na mnie człowieku,
Jestem Izraelitanką.
Mój Bóg nie wisiał na ćwieku,
Nie pił octu i piołunów,
Ale stał na wielkiéj górze,
Pośród dwunastu piorunów
W czarnéj i ognistéj chmurze,
I rozbłyskał się na całe niebiosa.
Otóż ten Bóg teraz broni
Każdego mojego włosa,
A pioruny trzyma w dłoni
Bóg Izraela i Judy,
Pioruny nad twoją skronią! i t. d.
— — — — — — —
Abyś wiedział, że Judzka niewiasta
Będąc w usprawiedliwieniu
Przed Bogiem swego zakonu,
Zemstą ojcowskiego zgonu:
Jest jak noc cała w płomieniu,
Jest jak burza cała w mocy,
Jest jak siła cała w ciszy,
Jest jak głaz w Dawida procy,
Jest jak płacz, który Bóg słyszy,
Jest jak grad, co bije w twarze,
Jest jak strach, co serca napełnia,
Jest jak miecz, którym Bóg karze,
Jest jak sąd, który Bóg spełnia. —
Ten sąd macie Chrześciany!
Ja go na was trzęsę z rąk!....

W téj chwili pokazują się Dońce w karczmie i świecą bagnety piechoty nieprzyjacielskiéj. Miasto zdradą Judyty, zdradą przez zemstę wskazaną, wzięte zostało. Na widok X. Marka, wraca skrucha, rzuca się na kolana, wołając: przeklnij! przeklnij! — Odebrawszy przebaczenie, wraca jéj potęga ducha, i spadają pęta z rąk powiązanych. Przyjęła sakramenta z rąk jego i imie Salomea. Rzuca się potém do miasta, aby proroka ocalić, i słyszymy już tylko z opowiadania

adjutanta, że pozapalał ktoś szpitale, i że buntują się starowierce; że żydowica blada z rozpuszczonym włosem, o polskim księdzu proroku opowiadała;

Aż skry, ogniste jaskółki
Na żydowicę napadły,
I od włosów jeść począwszy
Ciągle przerażoną jadły,
Aż upadła. —

W całym tym obrazie Judyty widać symboliczny stosunek Izraela do Polski. Jego upośledzenie, a na odwrót jego zemstę, którą się za tę pogardę i krzywdy swoje odpłacają.

Tak się przez żydów każde miasto bierze,

powiada Kreczetnikow. Przyszłość tego ludu z jednéj strony przez to poniżenie, z drugiéj przez tę zemstę przytłumioną została. Chrzest Judyty zda się symbolizować pojednanie z krajem, mającym być wyzwolonym kiedyś duchem takim, jaki był X. Marka. Między Polską uciemiężającą żydostwo, a Izraelem uciemiężonym nie ma połączenia, i dla tego odzywa się już ochrzcona Judyta do Kossakowskiego, co jéj miłość i śluby ofiarował:

Nu, ja ze łzami
Mówię tobie, mój goimie,
Że przepaść jest między nami....
— — — — — — — —
A może przyjdzie daleki
Jaki czas dla mego ducha,
Że mnie mój Pan Bóg wysłucha,
Modlitwę moję gorącą,
Za twoje szczęście proszącą.

Do tych dwóch osób X. Marka i Judyty, dołączył autor jako reprezentantów dobréj sprawy starościca i regimentarza Pułaskiego. Pierwszy przedstawia młode pokolenie, pełne dobrego zapału:

Jak miło, gdy młodość rozkwita!
Gdy krwią biją wszystkie żyły!
Rzucić się pod sztandar Boży,
Co w stepach z dawnéj mogiły
Jak tęcza, którą na chmurach
Słońce gdzieś ojczyste tworzy
Błyska, i na złotych piórach
Dusze rycerskie unosi.

A gdy słyszy pieśń konfederatów, rozrzewnia, rozczula się jego serce:

A ta pieśń, co Boga prosi
O łaskę, politowanie,
Taka miła, jak pieśń dziecka;
Rubaszna — jak pieśń szlachecka;
Święta, jak organów granie
A świeża, jako zaranie
Przyszłych nadziei narodu,
Tak trzęsie całą mieściną,
Że bez żadnego powodu
Kiedy słucham — łzy mi płyną.

Ale młódź ta czysta i zapału pełna ginie pod morderczém żelazem potęgi złego, gdy nie ma, coby jéj zapału użyć umiał. Starościc pada w pojedynku z Kossakowskim, gdy się za pohańbioną Judytą ujmuje:

W téj krwi, co ze mnie wyciekła,
Więdnie moja blada skroń;
Jezu! Jezu! ty mnie broń
Przed skonaniem od rozpaczy!
Cóż tam będzie, gdy zobaczy
Matka moja starościna,
Że na marach niosą syna
Przez posępne z lip aleje,
A z mar syna krew się leje,
A służący trupa kryją:
Cóż tam będzie, gdy zawyją
Moje psy, u moich bram?
Gdy mój stary dziadek sam,
Przyjdzie, klęknie w czarnej sali,
Oczy wlepi w moje oczy,
I na nogach się zatoczy
I na ciało się powali
I na piersiach mi zaryczy!
Jezu! Jezu!

Referendarz Pułaski, przedstawia poczciwy ród starych, dzielny i mężny, który czuje wielkość poniżenia, ale zaradzić temu nie umie, a w końcu przez stosunki wielorakie uwiedzion, idzie nawet, gdzie źli prowadzą.

Następny wiersz maluje cały jego charakter i charakter wieku:

Upadać Polska zaczyna!
Zarzucam żupana połę
Na oczy, by nie widziano,
Czy z twarzą wstydem rumianą
Czy z twarzą łzami zalaną
Stary Pułaski odchodzi.
Pole teraz waszéj młodzi
Niechaj nowe gniazdo lepi:
Bo oto my wodze starzy
Jako żebrakowie ślepi
Uchodząc z narodu straży,
Ręką macamy, gdzie wrota.
Co na wygnanie prowadzą.
Niech wam duchy boskie radzą!
Niechaj rośnie patryota
I nowy kościół zakłada....
Co do mnie byłaby zdrada
Gdybym nie szedł na Padole
Gdzie pan marszałek nas wiedzie

Z przeciwnéj strony występują potęgi złego, tchórzostwo, duma i prywata w marszałku Krasińskim. Podłość, rozwiozłość i zbrodnia w najdzielniejszym rycerzu z konfederatów Kossakowskim; przedajność i wyrodność w hetmanie Braneckim; chciwość w rabinie ojcu Judyty; niewola i służalstwo w Kreczetnikowie.

Jakaż nareszcie całość wyłania się z tego dramatu? Oto głównie walka dwóch potęg. — Poeta kładzie to wyraźnie w usta X. Marka.

..... Bo Pan niebios pragnie
Aby tu dwie były moce,
Jedna która ciałem nagnie
Druga, co duchem podniesie
I ukorzy w imie Pana,
Siła wielka! niesłychana!
Która przy żywota kresie
U wielkich duchów się jawi!
A tę — ludzie wydać muszą —
Bo kto ją w sercu zostawi
Ze łzą, z chlebem ludzkim strawi
I uniesie razem z duszą
Niebieskiéj pragnąc korony,
A tu nie pomoże światu:
Ten za prawdę potępiony!
Łachman z Bożego szkarłatu,
Gwiazda upadła z anielstwa
Gasnąca w błotnéj kałuży
Duch na wieki bez poselstwa
Bez ciała które mu służy,
Bez serca co w piersiach bije
Spadnie, w ziemię się zaryje.

W szczególności potęgę dobrego przedstawia naród powstający w imie Boga i za sprawę Boga. Ztąd pieśń konfederatów za sceną rozpoczyna dramat, malująca zaraz charakter téj konfederacyi

Bo u Chrystusa my na ordynansach
Słudzy Maryi!
Bóg jest ucieczką i obroną naszą!
Póki on z nami całe piekła pękną!
Ani ogniste smoki nas ustraszą,
Ani ulękną
Nie złamie nas głód, ni żaden frasunek,
Ani zhołdują żadne świata hołdy,
Bo na Chrystusa my poszli werbunek,
Na jego żołdy!

Potęgę złego przedstawia nieprzyjaciel tego narodu, zostający w przymierzu z szatańskiemi jego siłami, i ciągnący na jego zagładę. Jakoż Bar w płomieniach, i morowa zaraza, jako klęska Boga, x. Marek i Judyta wzięci giną. Czém się stało że potęgi złego przemogły nad dobrem. Oto nieprzyszedł czas. W większości narodu nie ma téj wiary, która pieśń konfederatów natchnęła. Na wniosek marszalka, opuścić Bar, i czekać pomocy w Turczech cała szlachta przystaje.

Cóż? — czy nieprawda panowie
Że tak lepiéj! z hufcem spachów!

SZLACHTA.

Lepiéj!

MARSZAŁEK.

Zgodne głosy słyszę....
A oto patrzcie, tu pisze
Pan Potocki nasz podczaszy
Że Turek już wroga straszy
Nad Prutem stanąwszy w sile....
Cóż mu po naszéj mogile?

SZLACHTA *(krzycząc.)*

Do Turków całemi szwadrony!

Daléj Izrael w Polszce uciśniony. Judyta powiada o sobie

A przed ludźmi — jak zawsze żydówką
Pogardzoną

Kiedy zaś Kossakowski stawa u żyda rabina w gospodzie, a ten go pyta „kto ty taki?“ w odpowiedzi widać całe poniżenie tego rodu:

Niech tego żyda wywiodą
I zakneblują mu pyski,
Kto ciekawy szpiega bliski.

RABIN.

Nu żartuje pan wielmożny.

KOSSAKOWSKI.

Żydzie ze mną bądź ostrożny,
Bo u mnie żyda powiesić,
To tak jak w peysy go trzepnąć

RABIN.

Nu — a czy ty umiesz wskrzesić?

(Dokończenie nastąpi.)

ROZMAITOŚCI.

Księgarnia N. Kamieńskiego i Spółki ogłosiła w tych dniach 3ci poszyt Roku 1844. — Myślinią czyli Całokształt Loiki Narodowéj przez B. F. Trentowskiego, w 2ch tomach — Wykład Matematyki przez K. Libelta, także w 2ch tomach.

Pewien podróżny, który dwa razy wyspy południowego morza zwiedził, opisuje królowę Pomarę Wahine z Taiiti, złożoną z tronu przed niedawnym czasem przez francuzkiego kontradmirała Dupetit-Thouars. Ma lat teraz trzydzieści, odznacza się regularnemi rysami twarzy, pięknémi dużemi oczami, pełnémi włosami i najśliczniejszémi w świecie zębami. A lubo w kraju mieszka, gdzie młodość kobiet krótko przemija, zachowała przecie dotąd całą świeżość młodocianego wieku, wyjąwszy może, że jest za otyłą. O rządy państwa mało się troszczy, gdyż lubi zabawy. Większą część czasu zajmują u niéj awantury miłośne, którym oddaje się z całą otwartością serca. Zresztą bawi się wiele ze swémi dziećmi, rozmawia z nadwornémi damami, a przedmiotem rozmowy najczęściéj bywają serca skłonności, lubi także drumlę i gra na lirze, którą jéj darował Dupetit-Thouars. Co dzień kąpie się w pierwszym lepszym stawie. Zwyczajny jéj ubiór stanowi lekkie

bawełniane okrycie; rzadko nosi pończochy, a trzewików nienawidzi. W czasie uroczystości jeno stroi się i to w pstrociznę najrozmaitszą, która może przed dwudziestu laty w modzie była. Kto ją tak przybraną widzi, nie może się od śmiechu wstrzymać. Nie gniewa się przecie, uważa śmiech ten za pewien rodzaj grzeczności, i kłania się jeszcze z pewnym wdziękiem osobom, które z niéj szydzą.

W Paryżu zjawił się jakby za uderzeniem róższczki czarnoksięskiéj nowy taniec i grozi innym zupełném zapomnieniem. Jest to, „polka“, tak nazwany polski walec. Starzy i młodzi tańczą „polkę“, a tancmistrze nigdy tyle uczniów i uczennic nie liczyli, co teraz, bo wszyscy chcą się tańczyć nauczyć, tak zwanéj „Polki“.

W kilka dni po karnawale w r. 1792., przyprowadzono do domu obłąkanych w Paryżu niejakiego Cretté, który rozum stracił w skutek nierozważnéj swawoli. Nieszczęśliwy był wówczas pełnym nadziei młodzieńcem, i znajdował się na balu maskowym, na którym także był jeden z jego przyjaciół, za niedźwiedzia przebrany. Siedząc sobie w kącie ów niedźwiedź, nagle wyskoczył na przechodzącego przyjaciela, położył łapy na jego plecach i okropnie zaryczał. Nieszczęśliwy tak się przeraził, że na miejscu rozum postradał. Odprowadzono go do domu obłąkanych, gdzie zawsze mruczał jak niedźwiedź. Tak żył lat pięćdziesiąt i dwa. W czasie każdego karnawału zawsze był niespokojnym, a podczas tegorocznego umarł, licząc lat 74. Przyjaciel jego równie okropnie cierpiał przez lat te 52, żałował kroku tak nierozważnego, i płacił na utrzymanie nieszczęśliwego 500 franków na rok.

Pan Lazarew w Paryżu kazał po rogach ogromne poprzylepiać afisze z uwiadomieniem: „Sztuka rwania zębów jest niepotrzebną! Wielki Mogoł w pielgrzymstwie swém do Jerozolimy odkrył panu Lazarew najważniejszą tajemnicę, rozlewającą dobrodziejstwa na ludzkość. Lazarew donosi przeto publiczności, że posiada płyn pewien, który uśmierza największe bóle zębów, napsute goi i t. d.

MODY.

Paryż, dnia 2. Kwietnia 1844.

Jeżeli dobrze nas zawiadomiono, staną śród nowości w pierwszym rzędzie, jednokolorowe bareże, a mianowicie w orzechowych, czarnych, zielonych i białych kolorach.

Z tych bareżów, podszytych białym jedwabiem, najpiękniejsze w téj porze roku robić będą suknie, i wiele z nich widzieliśmy sami naocznie. Jedna suknia z białego bareżu, ozdobioną była falbaną zachodzącą nad kolana. Falbana ta była ząbkami z białego jedwabiu obrzeżona, a w środku każdego znajdował się wyhaftowany duży groch. Rękawy u nich zupełnie obcisłe, z naramiennicami podobnie wystrojonemi jak powłoka. Rękawy nadto są zdobne bufkami. Stanik prosto wycięty, a berta służy jemu za ozdobę, odpowiadając zupełnie falbanie na powłoce. Do téj sukni ma być szal długi noszony, z zielonéj tafty, ozdobiony ząbkami z téj saméj tkaniny. Kapelusz zaś z białéj krepy, z obwodem ozdobionym czterema paskami krepowemi. Na obwodzie ujrzeliśmy bukiet z kwiatów wiosennych, a pod obwodem dwa kwiecia migdałowe.

Na sukniach z popeliny, jakoteż bareżu, nosić będą damy, które gustownie ubierać się umieją, długie szale, z téj saméj tkaniny co suknia, podszywając je białym jedwabiem, lub zdobiąc koronkami.

Równie podobać się będą suknie dla swéj trwałości z toile de soie (tkaniny lniano-jedwabnéj.)

Sądząc z tego, cośmy widzieli po składach modnych, przyznać musimy że kapelusze ściągane z białéj lub jasnokolorowéj krepy zajmować będą wysokie stanowisko śród mód wiosennych w tym roku. Podziwialiśmy np. prześliczny kapelusz z różowéj mory, ozdobiony pod obwodem koronkowym garniturem, z słaniającém się zaś piórem białém na obwodzie. Inny kapelusz z żółtéj mory miał na obwodzie trzy rzędy gładko ułożonych koronek, łączących się na boku, dla otoczenia sobą bukietu z kwiatów.

Tkaniny jedwabne w mieniących kolorach utrzymują się także i w tym roku. Wiele też rozprawiają o szkockich fulardach w drobne wzory, które są bardzo proste i piękne i dają się wybornie wyrabiać na suknie do przechadzek i po domu.

Szlafroczki osadzają często na bokach dwoma rzędami fałdowanych wstążek, szeroko na jeden palec od siebie odstających.

Kształt sukien mało się zmienił. Są zawsze nadzwyczaj obszerne; rękawy są bardzo krótkie, garnirunek bardzo szeroki, ze znacznem zawsze jeszcze wycinaniem.

Objaśnienie ryciny.

1. Surdut, z dwoma rzędami guzików: pantalony w kratkę.
2. Suknia jedwabna, zdobna koronkami; biały kapelusz atłasowy z piórami.
3. Suknia z czarnego jedwabiu, oszyta aksamitnemi paskami; kapelusz atłasowy z piórami.

Redaktor: *N. Kamieński.* Czcionkami *N. Kamieńskiego i Spółki.*